Victoria Benedictsson

Z mroku

W pokoju zapadł zmrok. Główne ulice miasta wypełniał zgiełk, który akompaniował panującej w środku grobowej ciszy. Przez kratkę w piecu żeliwnym mienił się rozpalony węgiel, nie oświetlał jednak niczego, a jedynie rzucał blask na dolną partię twarzy jasnowłosego mężczyzny, która w tym mrocznym otoczeniu sprawiała wrażenie jaśniejącej od wewnątrz, uformowanej przez żarzący się do czerwoności metal.

Mężczyzna siedział pochylony na krześle, z rękoma złożonymi między kolanami i wzrokiem wbitym w ogień. Kontury jego sylwetki były prawie niewidoczne w ciemnościach.

W osłoniętym przez kotarę rogu pokoju, przy piecu, ciemność była tak szczelna, że trudno było cokolwiek tam dojrzeć. Wszystko znikło w ziejącej otchłani cienia. Lecz z tej przepaści, tam, gdzie pojawiła się jednak odrobina oświetlenia, wyłaniało się coś, co zdawało się być szezlongiem, a zmysły wrażliwego człowieka mogłyby w tej głębokiej ciemności ponad wezgłowiem odczuć przenikliwy wzrok oraz przyczajony, nienaturalnie wytężony słuch.

– W moim mózgu jest jedno chore miejsce – rzekł głęboki głos z ciemności, mówiący powoli, z melancholijną monotonią. – Pojawiło się, gdy jeszcze byłam dzieckiem i istnieje do dzisiaj. Wszystko, co mnie raniło i obciążało, opierało swe ostrze właśnie na tym miejscu; teraz skorupa zmiękła, opór został złamany.

Mężczyzna siedział nieruchomo, jedynie jego głęboko osadzone, mądre oczy patrzyły ze współczuciem w mrok, w miejsce, skąd padały słowa.

– Czuję się tak, jakbym miała sto lat – kontynuował głos – i teraz została już tylko pusta skorupa otaczająca to, co kiedyś było żywe, spróchniała niczym stara wierzba. Mam wrażenie, że widziałam przychodzące i odchodzące pokolenia, narodziny i śmierć, łączyły mnie związki, które

z początku nabrzmiałe były od soków niczym młode, wiosenne pędy, by następnie obrócić się w nicość i zwiędnąć jak zmarznięte rozłogi kwiatów w późną, jesienną noc. Wiosna i zima następowały po sobie, a ludzie patrzyli na mnie i mówili, iż nie dorównuję wiekiem tym najstarszym. Ale ja czuję się, jakbym żyła już od stu lat. A mimo to nigdy, przenigdy nie byłam tym, kim chciałam być.

Martwa cisza wypełniła na nowo pokój, a w jej miejsce na próżno próbował się przebić hałas życia, ustąpił jednak i ponownie stał się przyciszonym akompaniamentem.

– Mój ojciec nie żywił nienawiści do kobiet – powrócił monotonny, bezbarwny głos – wręcz gorzej: on nimi pogardzał. Matka, gdy tylko przestała mnie karmić, uciekła za granicę z pewnym tenorem i została aktorką. Byliśmy sami, ojciec i ja.

Dopóki byłam mała, nie miałam dla niego płci; nie znaczyłam więcej niż mały szczeniak. Ale byłam krwią z jego krwi, kością z jego kości, czyli jego własnością, potrzebował czegoś ciepłego i miękkiego, co mogłoby się do niego przytulać; potrzebował koło siebie żywej istoty, która mogłaby odpędzić samotność.

Bał się samotności, mój ojciec, ponieważ kiedy był sam, nachodziły go różne czarne myśli, a to o lufie dubeltówki w ustach, to o stryczku na szyi, czarne myśli, które jednocześnie nęcą i wyciskają ze strachu pot. Nic tak nie ogrzewa, jak ciało dziecka, nic tak nie uspokaja, jak pulchniutkie rączki, nic nie daje tak bezsennego odpoczynku, jak równy oddech dziecka. Dlatego też Nina została towarzyszką swego taty, dlatego spał otulając ramionami jej małe ciało, dlatego spożywał posiłki pod jej przewodnictwem, niby z dorosłą, poważną kobietą, dlatego objeżdżali na jednym koniu swoje włości. I dlatego Nina ubóstwiała tatę. Była wtedy mała, w dziecięcej sukience; ni to chłopiec, ni dziewczynka, tylko pękaty malec.

Ale Nina dorastała. Szyja stała się szczupła, ręce dłuższe, usta odsłoniły zęby, oczy nabrały pytającego wyrazu. I wtedy ojciec dostrzegł w niej dziewczynę.

Głos przerwał na chwilę, mężczyzna pochylił się, by zamieszać węgiel w piecu tak, żeby rzucany blask nieco odżył.

– O, byłam taka mała, gdy uświadomiłam sobie, co ma przeciwko mnie; byłam taka mała, że nie pojmuję, jak mogłam to wtedy zrozumieć.

Nie miałam się z kim bawić, moja opiekunka była stara i zrzędliwa, wszystko, co posiadałam, łączyło się z ojcem. Dzieci mają instynkt, dzięki któremu mogą podobno czytać w duszach dorosłych, niemal zawsze bezbłędnie. Ponadto ich troski są równie prawdziwe jak te dorosłych, może nawet wystarczająco głębokie, by odcisnąć swe piętno na całe życie.

Byłam podobna do ojca, żywa i zuchwała jak on, melancholijna i delikatna; szybko wzlatywałam pod niebiosa niesiona nieopanowaną radością, by za chwilę spaść na ziemię owładnięta rozpaczą. Niesamowite, że mnie wtedy kochał!

Gdy skończyłam sześć, może osiem lat, zaczęliśmy odgrywać naszą komedię, dziecinną komedię; byłam chłopcem, dokładnie tak, jak on sobie tego życzył. Jeździłam więc z nim na moim własnym koniku, przyjmowałam chłopięce pozy, nauczyłam się gwizdać, pracowałam nad tężyzną fizyczną i nawet trochę klęłam, wszystko to, by go zadowolić.

Osoba zamilkła na moment. Zdawało się, że szuka czegoś w pamięci.

Nie pamiętam już dokładnie, kiedy po raz pierwszy zauważyłam ten pogardliwy wyraz twarzy i ton ojca, które potem tak często się pojawiały; zgryzota wymieszana ze wstrętem. Zdaje mi się, że było to pewne zdarzenie, które wyraźnie zapadło mi w pamięć. Byliśmy wspólnie na przejażdżce konnej, kłusowaliśmy. Ojciec był pełen zapału i rozgrzany, jego oczy czarne, a nozdrza rozszerzone. Kiedy tak wyglądał, wiedziałam, że niczego się nie boi. Dojechaliśmy do głębokiego dołu czy kanału, ojciec przeskoczył galopem, zawrócił konia i czekał, aż zrobię to samo. Mój koń był mniejszy; nie wiem, czy była to moja, czy jego wina, ale nie skoczył; nagle zatrzymał się na skraju dołu. Wówczas ojciec zawrócił konia, pamiętam ten zwrot jak dziś! I błyskawicznie przeleciał z rozpędu nad rowem, ze zwinnością charta. Zadrżałam na całym ciele, gdy ojciec złapał mnie za rękę, rzucił mi ostre spojrzenie i rzekł: boisz się! Nie powiedział ani słowa więcej, puścił tylko moją rękę, jakby wstydził się tego, że się na mnie targnął. Omiótł mnie i konia wzrokiem. Ubrana byłam prawie jak chłopak i używałam siodła dla mężczyzn, jednak na łęku leżała granatowa spódniczka, którą miałam na sobie.

Wtedy zauważyłam to w jego oczach, to, co mnie złamało, co od tej pory wciskało mnie w ziemię, albo raczej sprawiało, że zapadałam się w sobie, jak pusty, nic nie warty łachman, który rozpada się na kawałki.

Nie usłyszałam ani jednego słowa wyjaśnienia, sama też nic nie powiedziałam. Uderzył jedynie konia szpicrutą i odjechał kłusem; podczas gdy ja

zostałam w miejscu. Mój tajemniczy instynkt podpowiadał mi, iż ojciec nie gardził mną za to, że się bałam, tylko za to, że miałam do tego pełne prawo. Nie mogłam już przecież być nikim innym, tylko jedną z nich; tych, dla których tchórzostwo jest oznaką cnoty!

Głos ucichł, ponieważ zaczął drżeć z podenerwowania, drżeć z tym samym głębokim brzmieniem, jakie wydają struny wiolonczeli.

– Ale to nie było jeszcze wszystko, były to tylko podwaliny pod to miejsce, które miało sprawiać ból i przypominać o sobie przy każdym dotknięciu.

Na terenie majątku mieszkał pewien chłopiec, żwawy, ładny pastuszek, mniej więcej w moim wieku. Najlepszą rozrywką ojca już od moich wczesnych lat było oglądanie, jak próbowałam swych sił z chłopcem. Byłam szczęśliwa, gdy wytężałam wszystkie mięśnie. I często chełpiłam się faktem, że prawie zawsze zwyciężałam. Jednak pewnego dnia coś sobie uświadomiłam. Puściłam uścisk, a krew nabiegła mi do twarzy; wyglądało to tak, jakby mnie pokonał. Spojrzałam na chłopca z najwścieklejszym rozgoryczeniem: Kłamiesz, jesteś silniejszy ode mnie!

Odeszłam stamtąd przytłoczona i upokorzona, ponieważ tak długo pozwalałam się oszukiwać, bo zrozumiałam, że te lekko przychodzące zwycięstwa były darami mego przeciwnika. Nie byłam postrzegana jako wystarczająco silna, by triumf nade mną mógł być uznany za honor.

Te dwie historie są kluczem do całego mojego życia.

Od tej pory nie było przejażdżek konnych, niczego już nie było. Nie mogliśmy dalej udawać, że jestem chłopcem. Zrobiłam się cicha i spokojna; ludzie patrzyli ze zdziwieniem na zniechęcone dziecko, które nigdy się nie uśmiecha. Mimo to zachowałam swoje ulubione miejsce w gabinecie ojca. Wybrałam sobie niedostrzegalne legowisko za starym barkiem z wódką, w rogu między szafą i ścianą. Czarne myśli nie nachodziły ojca dopóty, dopóki nie był sam. Chroniłam go przed nimi, jednocześnie nigdy mu w niczym nie przeszkadzając.

Ojciec był duszą towarzystwa, dowcipny, a czasem nawet trochę złośliwy. Często przychodzili do niego nieznajomi, a także jacyś przyjaciele. Rozmowy toczone były przy kieliszku grogu. Często zdarzało się, że zapominali o mojej obecności, a wtedy słuchałam o rzeczach, o których nigdy nie powinnam była usłyszeć. Ojciec, jak niemal każdy melancholik, zajęty był wiecznie sobą, do tego stopnia, że nie myślał w ogóle o innych; wówczas dawał upust swej pogardzie dla kobiet. A ja, bez matki, ani żadnej innej

istoty, którą mogłabym kochać poza tym wiecznie przygnębionym pesymistą, którego zresztą uwielbiałam, nauczyłam się z tych rozmów więcej, niż jakakolwiek inna kobieta mogła się kiedykolwiek nauczyć; poznałam tajniki rozumowania mężczyzn; wiedziałam, jak rozpoznać, kiedy za słowami pochwały i uwielbienia kryły się litość i lekceważenie. Poczucie solidarności i swego rodzaju wspólnoty z moją płcią obudziło się dopiero później; od tamtej pory przy każdym kąśliwym czy zawoalowanym ataku cierpiałam w ukryciu, jak gdyby był on skierowany wyłącznie przeciwko mnie.

Kiedy miałam trzynaście lat, ojciec powtórnie się ożenił. Macocha była pięknością, ale nie z tych wyniosłych, podobnych do królowych, ale raczej z tych ślicznych, którym nie sposób się oprzeć. Była mięciutka jak króliczek, miała tak małe rączki, że zmuszona była nosić dziecięce rękawiczki, uśmiechała się zawsze, chyba że płakała, a kiedy się uśmiechała, robiły się jej dołeczki w policzkach i ukazywały się zęby małe jak perełki. Łagodna i zakochana, bez choćby jednej myśli w swej ślicznej główce.

Ojciec pysznił się jej urodą; nigdy nie oczekiwał mądrości. Wybierał dla niej stroje, ponieważ sama nie miała za grosz smaku, i chodził z nią na bale. A kiedy urodziła mu pierwszego chłopca, strzelano ze starych dział, wino wlewało się w spragnione gardła, cały majątek postawiony był na nogi i brał udział w świętowaniu. Powtarzało się to co rok albo co dwa lata: te same uczty, podniosły nastrój. A gdy się skończyło, opieką nad chłopcem zajął się ktoś inny; natomiast matka znów zaczęła uczęszczać na bale.

Moja nowa mama nie była ani dobra, ani zła; była po prostu piękna. Wyglądała jak dziecko i wiedziała, że tak właśnie powinna była wyglądać, im naiwniej, tym lepiej. Było jej z tym do twarzy.

W stosunku do mnie nigdy nie była niedobra, wręcz schodziła mi z drogi, co w moich oczach wyglądało tak, jakbym to ja była od niej starsza, ponieważ nigdy nie bywałam wesoła czy gadatliwa. Poza tym wstydzono się mojej niezdarności i braku inteligencji; dostałam guwernantkę, co jeszcze bardziej odsunęło mnie w cień. Czułam się bardziej samotna niż przedtem; ale z tego wszystkiego wyostrzył mi się wzrok. Nie byłam zazdrosna o macochę: zbyt dobrze znałam ojca. Umiałam rozszyfrować każdą jego minę i każde brzmienie głosu. Nie uszło mej uwadze, jak niezmierzona pogarda kryła się za jego pochlebstwami. Sama uległość była pogardą. Nie złościła go żadna niesprawiedliwość ze strony żony, ponieważ nigdy nie posądzał jej o to, że mogła mieć na tyle oleju w głowie, by w ogóle zdołać być niesprawiedliwą.

Ulegał jej kaprysom z towarzyszącym temu uśmiechem na twarzy i pocałunkiem w rękę, ale równie dobrze nie godził się na nie, zachowawszy ten sam uśmiech i pocałunek.

Ostatecznie jego pobłażliwość uczyniła z niej zarozumiałą osobę; zaczęła się przechwalać, rozwodzić nad sprawami, o których nie miała zielonego pojęcia i gadać głupoty. Ojciec podśmiewał się jedynie i zostawiał ją w spokoju; nie przywiązuje się przecież zbyt dużej wagi do słów wypowiedzianych przez piękną kobietę.

Zdawało się, że to wszystko wgniatało mnie w ziemię. Wszystko to, czego ona nawet nie potrafiła zrozumieć i poznać, wszystko to razem wzięte wierciło dziurę w mojej chorej głowie. Nauczyłam się patrzeć oczami ojca; z punktu widzenia mężczyzny zrozumiałam, co to właściwie znaczy być kobietą, ohydztwo, plugastwo, jedno wielkie pasmo nieszczęść, począwszy od dnia narodzin! Sama uważałam się za parszywego kundla. Wówczas to zrodziła się ta uniżoność, która odcisnęła swe piętno na moim charakterze i stała się nieodwracalnym kalectwem. O, ta skaza na mym umyśle! Jakże wrażliwe stało się to miejsce, każde ostrze mogło bez większej trudności je naruszyć! Byłam w posiadaniu niezwykłej zdolności pojmowania tego, czego inne kobiety zrozumieć nie potrafiły, co było dla nich tak niejasne, jak ptasie trele.

Nigdy nie byłam młoda, krótko byłam dzieckiem.

Na okamgnienie zapadła cisza. Mężczyzna nadal siedział pochylony; zamyślony, wpatrywał się w żar.

– Nie mogę uwierzyć w takie natężenie uczuć u dziecka – powiedział spokojnie. – Zastanawiam się, czy przypadkiem trochę nie wyolbrzymiasz wszystkiego, teraz, po tylu latach.

– Możliwe, lecz wynika to z faktu, że wszystko wpływa na wrażliwość tego miejsca. Chciałabym, żebyś to zrozumiał. Jeśli kiedyś jeszcze spotkasz kobietę, która również nosi w sobie taką pokorę jak ja, tę potulność, którą ty zawsze uznawałeś za wymówkę, i w którą tak trudno było ci uwierzyć, wówczas może zrozumiesz, że ona bierze się ze wstydu, wstydu bycia kobietą.

Ty nigdy nie postrzegałeś mnie jako kobietę czy mężczyznę, dla ciebie byłam zwykłą, żywą istotą; i dlatego mogliśmy być przyjaciółmi. Gdybym w twoich oczach była kobietą, i ty byś mną pogardzał.

Mężczyzna przysunął swoje krzesło bliżej szezlongu; z mroku wydobył drobną, chorobliwie chudą dłoń, do której przytknął delikatnie usta, bez

słów. Zrozumiała sens tego gestu i podziękowała, delikatnie głaszcząc go po dłoni, zanim wycofała własną.

Ciągnęła swą opowieść złamanym głosem.

– Wyszłam do świata i zaczęłam patrzeć na kobiety tak, jak nauczył mnie ojciec. Miałam nienaturalnie wyostrzony wzrok; nie umknął mi żaden błąd czy wada. Tchórzostwo, fałsz, małostkowość... Wszystkie niskie cechy znajdowałam w większym natężeniu u kobiet niż u mężczyzn. Nie byłam tak zaślepiona, by nie widzieć ich błędów; jednakże mężczyźni popełniali je z charakterem, nie była to ta sama rozmyta, bezkrwista nicość, co u kobiet. Mężczyzn charakteryzowały: kompetencja, pracowitość, przedsiębiorczość, prawdomówność, rzetelność; dla kobiet to wszystko było niczym w porównaniu z jednym: nigdy nie zgrzeszyć przeciw konwenansom. Czy jakikolwiek mężczyzna stracił kiedyś honor, gdyż miał na sumieniu ten czy inny erotyczny grzeszek? Nie. Lecz dla kobiety był to koniec.

A wina nie leży w mężczyznach, jak już wcześniej powiedziano, ale w samych kobietach, w ich tchórzostwie, w ich braku charakteru. Dla nich samych konwenanse, ich pozory, są wszystkim. Ich cnota nie ma nic wspólnego z charakterem, widoczna jest tylko na zewnątrz, jak znamię wypalone na skórze zwierzęcia. Stąd poczucie solidarności z własną płcią, która zrzuca odpowiedzialność za czyny jednej z nas na wszystkie kobiety. Nie patrzy się na nią jak na samodzielną jednostkę: jest tylko przedstawicielką swej płci. Jakżeż często tego doświadczałam! Ja, która czułam się, jakby wszystkie winy spoczywały tylko na moich barkach, jakby moja uniżoność była zadośćuczynieniem za ograniczoną i ślepą zarozumiałość, despotyczność oraz egoizm reszty! W mojej głowie była skaza i wszystko, co dawało mi życie, było dla niej pożywką.

* * *

Ojciec nie chciał, żebym była starą panną, więc wydał mnie za mąż. Wiedziałam, że jedynym sposobem dla kobiety, by przejść do wyższej sfery, było poślubienie mężczyzny, który awansuje. Wzięłam ślub i awansowałam, awansowałam, gdy dałam dowód swej miłości mężczyźnie, który był dla mnie bardziej odpychający niż pełzający robak. Byłam wtedy ładna, lecz było to dawno temu. Jedynie piękno i młodość nie napawają kobiet wstydem. Mąż mój żądny był sławy, chciał się wybić; a żeby tego dokonać, potrzebował innych, przynajmniej jednego, który często był u nas gościem. Był naszym przyjacielem, w towarzystwie mojego męża widywany poza domem, a w moim towarzystwie w domu. Lubiłam go; życie codzienne stało się maskaradą, by nie zdradzić się, jak bardzo. Mąż był „zadowolony", tak się to rzekomo nazywa. Ale już po dwóch latach mężczyzna może zdążyć nasycić się kobietą. I tak, jednego dnia zjawił się „ten drugi" i chciał mi dać pewien prezent, prezent tak drogi, że nawet narzeczony miałby spore trudności, by go wybrać dla swej ukochanej. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko odmówić. Byłam wytrącona z równowagi, a przy tym jeszcze obraziłam ofiarodawcę.

Wieści o tym dotarły do mego męża okrężnymi drogami. I wiesz, co wtedy zrobił? Złapał mnie z rękę i powiedział: Ranisz go swą odmową. Przyjmij prezent. Masz prawo powiedzieć, że to wyszło ode mnie.

W taki oto sposób ściągnęłam na siebie hańbę stając się rozwódką. Nie mogłam znieść faktu, iż traktowano mnie jak jakiś towar, że kupczono mną niczym znoszoną suknią. Dlatego też okryłam się hańbą, ponieważ zostałam bez męża.

Wszystko jest wstydem dla kobiety, bo ona sama z siebie jest niczym, jest tylko przedstawicielką swej płci. Pracowałam z mężczyznami, którzy zwykli mawiać, że nie mam płci i szydzili z mojej oschłości. Sama już prawie uwierzyłam, że jestem rodzaju nijakiego i również tego się wstydziłam. Bałam się, że w końcu wyrośnie mi broda, która mogłaby się stać kolejnym obiektem szyderstw. Aż pewnego dnia poczułam się kobietą, gdyż pokochałam.

Było tak, jakby wcześniej moje życie stąpało po wydeptanych ścieżkach, rozmokłych od posępnej, zimowej mgły, z poczuciem, że nigdy nie widziało i już na pewno nie zobaczy wiosny i nagle, pewnego dnia, widzi słońce, przedzierające się przez chmury, widzi, jak wszystko wypuszcza pędy, kiełkuje i wyrasta spod mgły, i wie, iż teraz wszędzie zapanuje zieleń, a kwiaty zakwitną w słońcu, w pełnym słońcu!

Oddałabym życie, by tylko móc zostać jego przyjacielem, lecz było to niemożliwe, mogłam zostać tylko jego przyjaciółką... Słyszysz, jak nieprzyjemnie brzmią te słowa: jego przyjaciółka! Od razu pojawiają się wstyd i podejrzenia!

– Męczy cię mówienie – rzekł mężczyzna głosem przesiąkniętym współczuciem. Jeszcze raz wziął jej dłoń w ręce i delikatnie pocałował, niemal z pokorą, nie wypowiadając już choćby ani jednego słowa.

– O, pozwól mi powiedzieć prawdę, choć raz – kontynuowała. – Wydaje mi się, że milczałam tak długo, następowały po sobie lata, dziesięciolecia, generacje, a teraz jestem jakby całym rodzajem żeńskim. Stara jak Ahaswer i obciążona winami całej mej płci. Odczuwałam je nerwami kobiety, a widzę oczami mężczyzny.

Wiesz, czym byłam w jego rękach. Otwierał mi głowę, by zobaczyć, jak pracuje mój mózg, rozdzierał nożem moje wnętrze, by poszerzyć swą wiedzę o człowieku, i rozszarpywał moje serce, jak nieposłuszne dziecko, tylko dlatego, ponieważ zauważył, że ono bije. A gdy nie było już bólu, który by mnie nie zabił, wyrzucił mnie. Nawet nie dlatego, żebym była względem niego złośliwa albo zła, albo nieszczera, albo połowiczna, albo tchórzliwa, albo dwulicowa, nic z tego. Ale wyłącznie dlatego, że byłam kobietą. Nie przyjacielem, jedynie przyjaciółką!

Kobieta zamilkła, a przez mroczny pokój przeszło nasycone bólem drżenie.

Ostatecznie powrócił jednostajny, pozbawiony barwy głos, jedynie nieco niższy:

– Być kobietą znaczy być pariasem, który nigdy nie wydostanie się ze swojej kasty. Dla mnie kobiecość była przekleństwem. Nigdy nie miałam matki, ojca straciłam zanim jeszcze zmarł, a poza tym nie miałam syna...

Jej mowa zakończyła się pojękiwaniem bez łez. Było ciemno. Twarz mężczyzny znikła w mroku, nie miał już nic do dodania.

Tłum. ze szwedzkiego
Izabela Kozłowska

Victoria Benedictsson

Wielka księga

(fragmenty)

12 grudnia 1887

Była sama. Pisała list, w którym zamierzała zapytać, czy życzyłby sobie, żeby wyjechała czy też została.

Czuła dokuczliwy ból w piersiach, pustkę, gdy żaden oddech nie przynosi ulgi, wielką czarną otchłań zniechęcenia życiem. Nad pokojem wisiała przygniatająca martwa cisza spotęgowana przez hałas miasta i turkot wozów. Wszystko to spowodowała jej tęsknota za nim. A teraz jego towarzystwo zwietrzało, zamieniło się w ohydną i przytłaczającą obecność kogoś, kogo nie można się pozbyć.

Zaczynało się właśnie to, czego się obawiała. Od samego początku wiedziała, że to przyjdzie. I właściwie już się rozpoczęło. Stopniowe pogrążanie się, poniżanie wobec tego, co na początku zupełnie obojętne, stało się wręcz odpychające. Czy nie miała dość siły żeby zerwać, nim nadejdzie to, co nieodwołalne?

Drzwi się otwarły. To on!

Jeszcze raz ujrzała ukochaną twarz. Znała doskonale każdy odcień jej wyrazu.

Podeszła do niego, położyła ręce na jego ramionach i patrzyła, wpatrywała się bez przerwy w twarz, której miała więcej nie zobaczyć. Uśmiechnęła się do niego, ale lęk przed śmiercią, towarzyszący wszystkim żywym istotom, ściskał ją za gardło. Nie zbliżyła się do niego bardziej niż na odległość ramienia i wpatrywała w jego wciąż zmieniające się rysy twarzy o delikatnej, prawie kobiecej miękkości. Kochać i umrzeć, kochać i umrzeć!

Czyżby to było szczęście? Tak. Uśmiechnęła się. Nie żałowała niczego, nie chciałaby przeżywać jeszcze raz swojego pustego, szarego życia, pozbawiając je tego bólu.

Nie mogła mówić. Cóż za niewiarygodna radość móc go znowu zobaczyć. I ten strach przed śmiercią.

– Co ci jest? Wyglądasz jakoś dziwnie? – powiedział delikatnie, uśmiechając się ciepło.

Wzięła głęboki oddech nim mogła odpowiedzieć.

– Jestem taka szczęśliwa, że mogę cię zobaczyć. Tęskniłam. Tak bardzo za tobą tęskniłam!

– Tęskniłaś? Za mną? To niedorzeczne!

– Może i niedorzeczne, ale nic na to nie poradzę. Taka już jestem.

– Więc czego ode mnie chcesz?

– Chciałam cię tylko zobaczyć. Jedna chwila wystarcza, bym była szczęśliwa przez cały dzień.

– Nonsens!

Słońce padało na jego twarz, mówił głosem miękkim, jakim rozmawia się z ukochanym dzieckiem.

Przyciągnął ją do siebie, a ona położyła głowę na jego ramieniu. Zbliżyli się do siebie i pocałowali. Uśmiechali się do siebie i całowali się. Zupełnie beztrosko, dziecinnie, w oddaniu. Tak przynajmniej myślała.

Jego bliskość dawała jej poczucie bezpieczeństwa. Bezpiecznie było oddać swoją wolę jego woli. Czuła się wówczas prawdziwą kobietą. Kochać i dawać, kochać i dawać! Nie miała już siły grać tej komedii. Była za bardzo zmęczona. Mógł żądać, czego tylko zapragnął, decydować o wszystkim, o jej uczuciach, myślach, chęciach. Należała do niego w całości. Czym miałaby mu się przeciwstawić?

– Nie tutaj – powiedziała.

– Wstydzisz się? Jesteś nieśmiała?

– Tak.

– Więc chodźmy do twojej sypialni.

W pokoju panował półmrok, rozświetlany niewielką, ledwie się tlącą lampką.

Niczego nie pożądała. Bała się. Pragnęła tylko jego bliskości, uprzejmości, widoku jego twarzy. Była zdolna kupić każdą chwilę za swój honor, krew, wszystko inne, co posiadała. Rozstanie z nim było śmiercią. Zobaczyć go oznaczało życie. A ona kochała życie.

Stała przed nim na dywanie w bezruchu, z rękoma przyciśniętymi do ciała, niczym niewolnica przed swoim panem. Uśmiechała się do niego całym swoim skazanym na śmierć oddaniem.

Spojrzał na nią nieco zdziwiony.

– Już nic od ciebie nie chcę – wydusił z siebie.

W półmroku spojrzeli na siebie ponownie. Zbliżyli się do siebie jak dwoje dzieci, obawiających się ciemności, tyle że po to, by połączyć się w długim pocałunku.

– Nie powinnaś wyglądać tak uroczyście. Powinnaś to traktować jak rozrywkę. Za parę tygodni przejdzie nam obojgu – powiedział.

Nie odpowiedziała. Właściwie, co miała powiedzieć? Że już nie ma siły, że jest cieniem człowieka, że pada ze zmęczenia? Że oddanie połowy siebie drugiemu człowiekowi jest wyrokiem śmierci, szczególnie, gdy ta połowa ma zostać oderwana.

– Powinnaś pokochać wysokiego mężczyznę, który pasowałby do ciebie.

Pokiwała głową uśmiechając się smutno. Czy będzie znowu miły, czy wyjdzie, sama już nie wiedziała. Myślała tylko o tym, że zaraz pożegna się z nią i że go już nigdy nie zobaczy.

On pytał. Ona milczała. On rozkazywał. Ona stała wciąż w bezruchu w swojej ciemnej sukience, zawieszona w obawie, że on odejdzie.

I w końcu, zimno i bezwzględnie:

– Nie chcesz?

– Zrobię, co zechcesz, jeśli tylko obiecasz, że będę mogła cię widywać. Chociaż minutę dziennie!

– Dobrze, dobrze – odparł wymijająco. Poczuła, jak jego dłonie szybko połączyły się z jej dłońmi. Przechylił ją, niemal rzucając na ziemię.

Kupić te minuty – wykupić je z jego obojętności, kupić rękami wokół jego szyi w bezgranicznym, beznamiętnym, skazanym na śmierć oddaniu! Uśmiechała się, ponieważ takie było jego życzenie. Uśmiechała się do skradzionego, zbrodniczego i beznadziejnego szczęścia.

Żądać i podporządkować się.

Stała przed nim nieruchomo w ciemnej sukience, zakłopotana i niepewna. Drżąc odwróciła się i podpięła opadające włosy.

Pojawiło się między nimi to coś, co wywoływało pogardę, to surowe, brutalne, przed czym ustępowała. Oto wydała ostatni grosz, doprowadzając się

do bankructwa. Zupełnie świadomie. A teraz to już koniec.

Przeszli do jej pracowni. Usiedli w milczeniu. Była pewna, że teraz odejdzie. Nie miała już czym zapłacić. Nie pozostało już nic innego jak spłacić dług wobec społeczeństwa i moralności.

– Zupełnie bez sensu. Jak można mnie kochać? Co ty widzisz we mnie takiego, co sprawia, że mnie kochasz? Jestem przecież wręcz brzydki – odszedł i przejrzał się w lustrze.

– Wszystko w mojej twarzy jest krzywe. Nie zwróciłaś na to uwagi?

– Co to ma do rzeczy, czy zwróciłam czy nie!

– Twoja duma powinna ciebie powstrzymać przede mną. Pomyśl tylko, przynajmniej z tuzin innych kobiet się we mnie kocha.

– Owszem. Ale dumę już dawno utraciłam.

– Za mądra jesteś żeby mnie kochać. Nie jestem odpowiednim obiektem miłości.

– No proszę!

– A w twoim wieku, to czyste szaleństwo!

– Tak.

– Porozmawiajmy więc rozsądnie!

Usiadł naprzeciwko niej.

– Czy to prawda, że kochasz mnie tak zupełnie poważnie? *Tout de bon?*

– Tak.

– I twierdzisz, że twoja wola nie jest już wolna?

– Tak.

– W twoim wieku! I że kochasz tak jak się kocha, gdy jest się młodym?

– Czyli jak?

– Tak, że człowiek poddaje się zupełnie uczuciu, które wypełnia całe jego jestestwo, tak że człowiek tęskni! Tęskni, słyszysz? Mogłabyś za mną tęsknić?

– Ty nigdy wcześniej nie tęskniłeś?

– Tak bardzo, że aż oczy wychodziły z orbit. Ale w twoim wieku! Więc to w taki sposób mnie kochasz?

– Tak, zdecydowanie. Sądziłam, że to oczywiste.

– Nie było. Zrozumiałem to dopiero teraz.

– Co więc sądziłeś o mnie przez cały ten czas?

– Nie zaczynaj znowu!

Powiedziała mu, że ma zamiar wyjechać na zawsze do Paryża.

Roześmiał się i stwierdził, że przypomina mu to pewną damę, która wyjechała na Fionię, by o nim zapomnieć. Nie, właściwie po co miałaby wyjeżdżać? Co chciałaby przez to osiągnąć?

Nic, zupełnie nic.

Chciała tylko przestać o nim myśleć.

Smutne skinienie głową.

Przygotowywał się do wyjścia.

– Przezwyciężę to w ten czy inny sposób, bo tego sobie życzysz – powiedziała, w duchu zrzucając na niego odpowiedzialność za swoją śmierć.

– Masz rację – powiedział i tak się rozstali.

Gdy wyszedł, nie ruszyła się z miejsca. Opanowała ją śmiertelna, przytłaczająca rozpacz z domieszką wstydu.

Co o niej sądził?

Była dla niego nie tylko czczą rozrywką, ale też lekkomyślną kobietą, którą gardził.

Oczyścić mogłaby ją tylko śmierć z jego powodu. Wówczas zrozumiałby, że miała swój honor, że go kochała ponad wszystko i dlatego była mu tak oddana.

A więc śmierć!

13 stycznia 1888

Od wielu dni nie miałam nic konkretnego w ustach. Moje ciało i dusza są tak umęczone, jakby miały się od siebie oderwać.

„On" był tu wczoraj. Samobójstwo jest obrzydliwe, ale on nie ma dla mnie współczucia. Żadnego. Nie mamy też już sobie mówić na ty.

Porzucona niczym stara rękawiczka!

Kipi we mnie tłumiona złość, pierwsza oznaka życia.

A Axel powiedział, że jestem za sentymentalna. Rzekł to z czułością i oddaniem.

Byłam wykończona, wygłodniała, śmiertelnie zmęczona. Matti czytał mi na głos *Sankt Hans Fest*. Na przemian spałam i słuchałam. Poruszył mnie opis Larsa Oftedala. Wcześniej uważałam, że książka jest nudna. Jestem spokrewniona z pastorem.

Czy to Georg Brandes mnie złamał? Nie. To cały ten fałsz mnie złamał. Tonęłam w nim, by się przypodobać Jemu, a On zaszczepił we mnie zalążki, które nie mogły się jednak rozwinąć i które ostatecznie zgniły. Pragnienie luksusu, którego nigdy nie mogłam zaspokoić niewielkimi dochodami z pisania. Pogarda dla siebie samej, że nie jestem księżniczką lub wystarczająco piękna, młoda czy bogata. Słowem gardzę sobą, bo nie umiem błyszczeć.

To wszystko to nie ja, ja nienawidzę tego od samego początku. Chcę to wyrzucić z siebie, uciec od tego, uderzać w to pięściami niczym mężczyzna, byle się tylko tego pozbyć.

On obudził we mnie chore pragnienie szczęścia, podczas gdy życie może zaspokoić tylko pragnienie zdrowia i równowagi.

Pozwoliłam zawrócić się z mojej drogi. Pragnienie szczęścia zaprowadziło mnie we wstydliwe zakątki nędzy i upodlenia. Porzucono mnie w przydrożnym rowie, bym się pogrążyła w bagnie pogardy.

Więc leżę tu. Nie zostało mi już nic. Hańba! Wstyd!

Jestem kobietą, ale i pisarzem, więc może też i trochę mężczyzną?

Co z tego, że jestem niska? On też jest. Co z tego, że nie mogę skorzystać z przywilejów, jakie mężczyźni dają pięknu, młodości i pozycji? Co z tego, że wyglądam staro i brzydko? Czy moje pomarszczone, brzydkie ręce nie mogą być silne? Czy można po pięknej pracy, jaką wykonały rozpoznać, że są brzydkie? Co znaczy bieda dla mnie, skoro gardzę luksusem i wypowiadam mu walkę?

Zmieszał mnie z błotem, a ja się nawet nie broniłam. Nigdy mi nie pomógł. Nie wyciągnął do mnie ręki. Więc dlaczego się mu nie przeciwstawiam? Nie chce mnie znać, więc dlaczego nie mam nie pozbawić pietyzmu mojej martwej miłości?

Nigdy nie wierzył we mnie. Więc dlaczego nie przeciwstawiam mu swojej siły, wiedząc, że ją mam?

Jego królestwem była pustka, więc cóż mógł mi ofiarować? Dlaczego nie szukam czegoś, co sama posiadam. Kto powiedział, że jego wiedza wyssana z książek jest lepsza niż moje doświadczenie życiowe i charakter, wykształcone na suchym chlebie rzeczywistości?

Jestem brzydką, biedną i wzgardzoną starą kobietą. Twoją porzuconą kochanką. Zobaczmy, czy nie jestem czymś więcej!

Byłam sentymentalna. Zobaczmy, czy również nie jestem twarda.

Wolałam poświęcić siebie niż ciebie nienawidzić. Jednak ty odrzuciłeś moją ofiarę kpiną i drwiną. Weź nienawiść, jeśli wolisz! Nienawiść, która zagrzewa do walki, ale która nigdy nie pozwala stoczyć się aż na sam dół.

Ty i twój brat nigdy mnie nie chcieliście mieć. Czy ryzykuję więc wiele, gdy podążając za moim sercem, zwracam się przeciwko wam?

14 stycznia 1888

„Powieszona bez rozgłosu". Chciałam pójść i powiesić się bez rozgłosu, ponieważ uważałam, że to poniżające, że nie mogłam żyć bez nienawiści do niego. Nie chciałam kąsać z bólu niczym wściekły pies i dlatego chciałam umrzeć.

Lecz kiedy pragnęłam cierpieć za wszystko, całować go po rękach i odpłynąć w ciemnościach, niczym pokornie znikający cień, on nawet przez chwilę nie zastanowił się nad moim oddaniem. Żadnego słowa współczucia.

Powieszona bez rozgłosu, to jedyne, co mi pozostało. Kobieta, którą pieścił była mniejsza niż robak na ziemi. Po wszystkich tych dowodach czułości nie pozostał żaden ślad oddania albo współczucia.

Chciałabym umrzeć w tym nastroju. Umrzeć, aby nie splamić wspomnienia mojej miłości goryczą i odrazą.

Nie dane mi było umrzeć. A teraz te jego zimne, przytłaczające słowa. A chciałam umrzeć wierna jak pies, umrzeć, aby pozostać szlachetną. A on uderzył mnie, bił i kopał, bił za to, za co chciałam umrzeć.

Nie byłam wystarczająco cicha. Czułeś się zażenowany moim ciężkim, zmęczonym oddechem i dlatego mnie uderzyłeś. A ja cię teraz nienawidzę. Słusznie czy nie, nic mnie to nie obchodzi. Uderzyłeś mnie, gdy byłam dobra i słaba. Więc uderz mnie także teraz. Nic nie poczuję, bo stałam się twarda.

„Wolna miłość" zatruła moje życie. Miłość? Cóż to za nazwa dla takiej rzeczy! Muszę umrzeć, ponieważ nie mogę już żyć. Nie zawisnę jednak bez rozgłosu. Hańba i wstyd przylgną do mojej śmierci, tak jak przylgnęły do mojego życia. Hańba zawiśnie wysoko na szafocie ponad morzem głów, ku przestrodze, a ja znieważana będę bezczelnie zaciskała zęby. Moja śmierć zachwieje nauką, którą wyznajesz, nauką, którą zawsze pogardzałam, ale której nie odważyłam się przeciwstawić, ponieważ byłeś silniejszy niż ode

mnie, ponieważ związałeś mnie ścięgnami mojego własnego ciała, ponieważ moja myśl była jasna, ale moja natura, niczym wygłodniały drapieżnik ją przyciemniła, aby ukraść trochę marnych okruchów dla siebie.

Nienawidzę twojej nauki! Tak, nienawidzę jej, nienawidzę! Ona ma się nijak do wolnej miłości. Zupełnie nijak! Znam cię długo. Nie mam dla ciebie szacunku – ja ciebie wciąż kocham.

Wypiłam napój górskich trolli, więc nie mogę już żyć wśród ludzi. Jednak chcę oddychać, oddychać, oddychać zanim umrę, mówić swoim językiem i krzyczeć jego imię, imię, które będzie mnie kosztować życie!

Troll gór – Król gór. Król deprawacji, wielkiej odurzającej deprawacji.

Ale nie człowiek.

Tłum. ze szwedzkiego
Dagmara Lewińska